

Andrzej Świetlik w rozmowie z Grzegorzem Kapłą

Trzeba powiedzieć wprost – nie byłoby tej książki, gdyby nie Andrzej. I paru innych spraw w polskich księgarniach i światowych galeriach nie byłoby, gdyby nie on. Może nawet nie byłoby postmodernistycznej rewolucji w fotografii, gdyby kiedyś nie trzasnął w stół i nie powiedział „wychodzimy”. Wyszli ci, których uwierał czerwony krawat na karku młodej sztuki. Wyszli i założyli grupę artystyczną. „Łódź Kaliska” posłała do kąta i tych, co tkwili na kolanach w służbie PRL-u i tych, co bogoojczyźnianie klęczeli przed Madonną. Ale nie byłoby tej rewolucji, gdyby nie Złotów. Kantor w swojej sztuce wciąż opowiadał o swoim dzieciństwie. Kto wie? Może ze Świetlikiem jest dokładnie tak samo?

Ostatnio sporo myśli o „Łodzi Kaliskiej”, bo wziął się za pisanie pracy o jej dokonaniach i nagrywa wspomnienia kolegów: Janiaka, Kwietniewskiego, Rzepeckiego i Wielogórskiego. Odkrywa, że pamiętają zupełnie inne sprawy. Jakby przeżyli zupełnie inne historie. Czas sprawia, że to, co przeżyliśmy kiedyś, dawno, staje się jakimś mitem, bajką... Ze Złotowem jest tak samo.

– Idę, patrzę w te okna, potem zamykam oczy i widzę to mieszkanie w najdrobniejszych detalach, łącznie z dywanem, którego frędzle musiałem czesać w każdą sobotę. Na środku stoi wielki stół, okrągły, wtedy miało się okrągłe stoły. Mama goni mnie dookoła stołu, jeśli akurat coś przeskrobałem. Jest jeszcze zegar. Kiedy mama umarła, przywiozłem go do Warszawy. Syn chciał go mieć. Ten zegar, pamiętam, stanął tylko raz. Tego dnia, kiedy zmarła babcia, ktoś go zatrzymał.

Babcia zmarła w 1967. Wynieśli wtedy z pokoju okrągły stół, żeby na jego miejscu ustawić trumnę. Babcia była Niemką. Ze ślubnej fotografii pamięta, że była piękną kobietą... Amanda, dziewczyna z rodziny Bankertów, którą rodzice wydali za mąż za Lacha, żeby połączyć majątki. Majątki były niewielkie, bo dzieci rodziło się sporo. A dobrze przemyślane małżeństwo było szansą na powiększenie gruntów, więc Amanda wyszła za rzeźnika z Zakrzewa. Ksiądz, kiedy udzielał ślubu, do panny młodej mówił po niemiecku, a do pana młodego po polsku. Dziadek nie znał niemieckiego. Babcia nie mówiła po polsku. Mieli pięcioro dzieci.

– Czy byli szczęśliwi? Ja babcię pamiętam już jako wdowę. Mocno spracowaną, bo miała trudne życie, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była niezadowolona. Miała astmę. Ciężko jej było oddychać, jednak zawsze wydawała mi się szczęśliwa. A moja mama została wdową z trojgiem dzieci kiedy miałem sześć lat. Kobietom nie było łatwo w tej rodzinie.

Andrzejowi przypomniały się nagle wszystkie dziecięce zabawy. Najpierw ta w lekarza z siostrą kolegi. A potem w wojnę. Mieli swoją bandę. Bandę z ulicy Wojska Polskiego. Walczyli na śmierć i życie z chłopakami z Mokrej. Kiedyś znaleźli skrzynkę z granatami, które w ukryciu czekały, na wypadek gdyby konflikt nagle się zaostrzył. O granaty po wojnie nie było trudno. Znajdowało się je po lasach i ruderach. Andrzej pokazał swoją skrzynkę sąsiadowi. Pan Alojzy znał się na rzeczy, był przecież żołnierzem w Wehrmachcie. Uznał, że trzeba wezwać saperów. A potem pan Alojzy stał się przyczyną dziecięcego dramatu.

– Graliśmy w piłkę. Ostrożnie, bo to było małe podwórko. Któregoś dnia Alojzy wychodzi i mówi: „podaj, podaj”. A potem tak zacentrował, że piłka odbiła się od mojej nogi i poleciała wprost w okno dziadka Pupinka, weterana spod Lenino. Mieszkał na parterze w oficynie. Piłka stłukła mu dwie szyby i trafiła w radio Pionier, na którym Dziadek słuchał Wolnej Europy. Radio spadło na podłogę i się rozbiło. Dziadek wyszedł z piłką i nożyczkami.

Popatrzył wściekły na wystraszonych piłkarzy, a potem zaczął dźgać piłkę raz po raz z dziką zjadłością. Mama musiała zapłacić za szklarza.

W kamienicy od frontu mieszkali autochtoni. W oficynie – nowi. Na pierwszym piętrze, nad dziadkiem, repatrianci zza Buga, a obok Świetlików rodzina Kleszczów. On był ze Złotowa, ona z Wałbrzycha. Charakterna Ślązaczka. Kiedyś Jurek z oficyny pobił się z jej synkiem, Andrzejem. Kobiety wrzeszczały na siebie przez okna, a potem repatriantka ruszyła na dół. Kleszczowa też. Zeszły, stanęły na podwórku i przy całej dzieciarni wypięły na siebie dupy.

Miał świetnego nauczyciela plastyki, choć nikt wtedy tego przedmiotu nie szanował. Zamarzyło mu się liceum plastyczne.

– I co? – zapytała mama – będziesz potem do końca życia wystawy dekorował?

Dała mu katalog szkół średnich. Przejrzał. Nic mu się nie podobało.

– Edek Kołodziej to do technikum budowlanego pieszo w drewniakach poszedł, a teraz co? Jest dyrektorem firmy budowlanej – mama wzięła Andrzeja do pana Edka na górę żeby wbił chłopakowi do głowy, że najlepsza szkoła to jest budowlana. Pan Edek wbił i Andrzej wylądował koniec końców w niebieskim pekaesie do Koszalina.

– Przekonali mnie, że jeśli pójdę do ogólniaka to go skończę i zostanę bez konkretnego zawodu. Że trzeba praktycznej szkoły. Wylądowałem w Technikum Budowy Dróg i Mostów w Koszalinie.

Była to szkoła na bardzo przyzwoitym poziomie, na dodatek miała koło fotograficzne, które prowadził profesor od geografii. I to był początek największej przygody w życiu Andrzeja.

– Chcesz fory z geografii – poradzili koledzy z internatu – to zapisz się do kółka.

Kolega, który namówił Andrzeja na fotografię, Genek Jasiewicz, już wtedy miał autorytet. Po latach miał zostać burmistrzem miasta Wolin.

Po technikum próbował kontynuować edukację w Wyższej Szkole Inżynierskiej, ale nie polubił tych studiów, rzucał je dwukrotnie. W końcu zatrudnił się w Wojewódzkim Zarządzie Dróg Publicznych w Koszalinie. Najpierw jako majster na budowie. Zbudował drogę z Mścic do Mielna razem z mostem na Dzierżęcince. Właściwie to był mostek. Ale tak naprawdę pochłaniała go fotografia. W wolnym czasie po pracy przygotowywał się do egzaminów do Związku Polskich Artystów Fotografików. W 1978 roku dyplom ZPAF-u znaczył tyle, co dyplom ukończenia uczelni artystycznej. Przez dwa lata uczył się historii sztuki, fotochemii, wszystkiego co musiał znać i potrafić fotograf, żeby dostać dyplom artysty. Egzamin w Gdańsku i w Warszawie. Zdał. Był artystą. Niedługo potem rozpadł się jego związek małżeński. Od kiedy zamieszkał kątem u kolegi zrozumiał, że nic go już w Koszalinie nie trzyma. Porzucił karierę drogowca i ruszył do stolicy.

Okolo 1980 roku poluzowało się w gospodarce i zaczęły powstawać firmy polonijne. Między innymi POLMARK z pierwszym, ogólnodostępnym laboratorium wywołującym materiały Kodaka. Kolorowa fotografia była w tamtym czasie luksusem. Andrzej przygotowywał jakąś wystawę, trafił do ich laboratorium. Przy okazji od słowa do słowa namówił właściciela, żeby w Warszawie wybudował profesjonalne studio fotograficzne, bo istniało dotąd tylko jedno – Krajowej Agencji Wydawniczej. No i kiedy POLMARK zbudował studio na Żoliborzu, Andrzej pracował tam kilka lat. W międzyczasie znalazł strych, zaadoptował go na mieszkanie. I poczuł się wreszcie szczęśliwy. Pierwszy raz od dawna.

– Zarabiałem na życie robiąc zdjęcia piosenkarkom i aktorom. Wtedy nie istnieli jeszcze celebryci, ale gwiazdy estrady owszem. Prawdziwe gwiazdy. Niemen, Rodowicz, Kora, Grzegorz Ciechowski, Edyta Geppert.

Jego zdjęcia trafiły do gazet. Wyrobił sobie markę. W 1989 wystartował w Polsce rynek reklamowy. Robiło się coraz więcej zdjęć pięknych produktów i szczęśliwych ludzi zachwalających idealny świat. Pojawił się miesięcznik „Twój Styl”, który dość szybko stał się najbardziej prestiżowym polskim magazynem dla kobiet. Współpracował z nim przez kilka lat.

– Praca dla chleba to jedno, ale pasją była „Łódź Kaliska”. Coś, co zrobiliśmy dla frajdy. W 1979 roku na Ogólnopolskich Spotkaniach Fotografii Młodych w Darłowie, jako komisarz artystyczny, zajmowałem się programem imprezy. Przez dwa dni sympozjum przebiegało grzecznie, zgodnie z planem. Jednak dojrzywało w nas coś zupełnie innego od oczekiwań resortu kultury. Chcieliśmy fotografii jako artystycznej prowokacji i jako zabawy, a nie zaprzęgniętej w jarzmo propagandy. No i wybuchł bunt.

Po trzech dniach wyrzucili ich z sympozjum. Wybuchł skandal. Nie zdarzało się, żeby do buntu nawoływał artystyczny komisarz. Postanowili, że nie wyjeżdżają. Że będą obradować dalej, na własną rękę. Zamieszkali w sześciu w Hotelu Bryza. Następnego dnia dołączyła do nich grupa, która z własnej woli odeszła z sympozjum. I zrobili w knajpie konkurencyjną imprezę.

– Nie mieliśmy za dużo kasy, więc przy życiu utrzymywał nas kucharz garmażeryjno-mięsny Hieronim, który podbierał z kuchni golonki, ziemniaki, siadał z nami i gadaliśmy. Co i raz zabierał głos, mówiąc zawsze to samo: „Cisza! Chrystus powiedział stop”. I kontynuował swoją kwestię o życiu w zgodzie z własnym sumieniem i godnością osobistą. Tam narodziła się grupa artystyczna „Łódź Kaliska”.

Po dziesięciu latach zorganizowali spotkanie z zaprzyjaźnionymi artystami, oczywiście w Darłowie. Szukali kucharza Hieronima, żeby go zaprosić, ale okazało się, że w 1976 roku przygotowując przyjęcie weselne zapił się na śmierć. Jego lekcje o Chrystusie zostały w nich na zawsze.

Na trzydziestolecie zorganizowali sympozjum naukowe, oczywiście w Darłowie. Zjechał się kwiat polskiej krytyki artystycznej, były znakomite referaty na temat sztuki współczesnej. A oni na podium jako starzy pierdziele. Wmurowali nawet w chodnik tablicę, żeby świat nie zapomniał, w którym budynku, wówczas Hotelu Bryza, narodziła się słynna grupa artystyczna „Łódź Kaliska”. Mieli już na koncie ponad trzysta wspólnych wystaw.

– Moje dotychczasowe życie to cztery miasta: Złotów, Koszalin, Warszawa, no i Łódź. Wszystkie ważne, lecz bez Złotowa nie byłoby pozostałych. Tam ujrzałem świat, tam go poznawałem.